ROZMAITOŚCI.

Dnia 14. grudnia, Nr. 50. roku 1844.

PAWEŁ MORO,

OSTATNI KONTRABANDIERI.

Byłoto pewnéj niedzieli po południu, około godziny nieszpornéj, w miasteczku Bedonia, w *Val-di-Taro*. Nabożeństwo już się zaczęło i wszyscy weszli do kościoła. Z otwartych okien chóru rozlégał się dźwięczny odgłos nabożnych śpiewów. Na dworze, gdziebyś żywéj duszy był nie ujrzał, w popołudniowéj ciszy ani listek nie ruszył się na drzewie. Byłato chwila niewymownego spokoju. U drzwi kościoła widać było oparty o mur — groźny karabin Pawła Moro, ostatniego bandyty w Apeninach.

Religija większéj części miast włoskich jest wcale odmienną od wyobrażeń, jakie obcy podróżni najczęściéj o niéj mieć zwykli. Kazania nigdy prawie nie usłyszysz po miastach, wyjąwszy w czasie wielkiego postu, a i wtedy nawet nie jest koniecznym obowiązkiem chodzić codziennie do kościoła. Na sumie bywa najczęściéj kilka tylko niewiast starych i kilku podróżujących Anglików. Ale ponieważ każdy duchowny codziennie mszę odprawia, tedy można być o każdym czasie na nabożeństwie.

Ztądto znacznie nawet przede dniem, nim kościoł otworzą, zbiéra się rozespana jeszcze gromada przed kościołem i żąda wnijścia. Nareszcie drzwi otwiérają. Wchodzi więc podróżny z swoim tłumoczkiem, woźnica z batogiem, służąca z koszykiem, a nawet strzelec z swoim psem gończym.

O saméj godzinie południowéj, gdy już toalety damskie ukończone, udaje się wielki świat do swojéj ulubionéj kaplicy, która jest zwykle małym, niepokaźnym budynkiem, lecz przeto właśnie bezpiecznym od natłoku pospólstwa. Damy klęczą na maleńkich ławeczkach lub bywają przez swoich towarzyszów do osobnych krzeseł zaprowadzone. Kawalerowie stoją w głębi u drzwi, lornetując śród wesołych rozmów, żartów i śmiéchów, wszystkie zgromadzone piękności.

Na ostatku odzywa się dzwónek powołujący pracowitych rzemieślników, którzy zatrzymani dotąd w napół przymkniętym sklepie, przy warstacie, nad wyrobami pańskiego zbytku, spieszą teraz do poblizkiego kościoła, aby tam przynajmniéj połowę przeznaczonéj dla siebie mszy wysłuchać.

Takie jest niedzielne nabożeństwo po miastach. Na wsi zaś, w niejednem ustronnem siole, w niejednéj apenińskiéj osadzie zachowała się dodziśdnia tak szczéra i gorliwa pobożność, jaką może tylko w piérwszych czasach chrześcijaństwa widziano! Obyczaje ludu ustaliły się na pewnéj trwałéj posadzie; nie dojrzysz w nich zmiany ani na lepsze ani na gorsze; dla tego jest tam niedziela uważana jako dzień święty i przeznaczony Bogu. Ani odległość, ani jakakolwiek zła droga lub niepogoda nie wstrzymają włościana lombardzkiego od wysłuchania mszy świętéj w niedzielę. Przed południem długa suma z kazaniem, nad wieczorem psalmy, hymny i nabożeństwo do przenajświętszéj hostyi — są głównémi warunkami tego dnia odpoczynku.

Zresztą nie trwa całe nabożeństwo tak długo, aby jeszcze dość czasu do rozrywki nie pozostało. Rano idzie się do lasu na polowanie, po południu odbywają się gimnastyczne popisy, nad wieczorem zgromadza się cała wieś, w zimie w dużéj izbie, w lecie na łące lub na murawie, gdzie przy odgłosie nieuczonéj muzyki, w obecności siedzącéj naokoło starszyzny, ojców i matek, hoże pary chłopców i dziewcząt wyprawiają swe ulubione tańce, tarantelle, furnale i różne inne. Pleban miejscowy musi być koniecznie obecnym przy téj zabawie i żadna rozrywka bez niego się nie obejdzie.

Nawet osławiony bandyta, na którego głowę cena wyznaczona, nie sądzi się być uwolnionym od nabożeństwa, a oparty o ścianę bedońskiego kościoła karabin Pawła Moro, zaświadcza najwyraźniéj o jego obecności śród nabożnego gminu w kościele.

W całych Włoszech, a może nawet i w całéj

Europie, wyjąwszy chyba Szwajcaryję, niémasz piękniejszéj okolicy, jak nasza romantyczna dolina w Val-di-Taro, w parmezańskim ustępie Apeninów. Przerzynający ją Taro jest największym ze wszystkich górskich strumieni włoskich; źródło jego wszczyna się niedaleko Bedonii, zkąd bystrym wypływając pędem rzuca się w tysięcznych kaskadach ze skały na skałę. Z przodu rozprzestrzenia się na wszystkie strony nieprzejrzana dolina, która zniżając się zwolna. przedstawia najpiękniejszą rozmaitość łąk i lasów, miast i wiosek, klasztorów i starych zamkowych zwalisk. Na prawo, o dwadzieścia albo i więcéj mil, kryje się Taro wpośród gór apenińskich, które skręcając nagle ku południowo-zachodniéj stronie, wspinają się powoli do wysokości olbrzymich szczytów, otaczających taknazwane święte jezioro. Poniżéj leżą przesmyki *de la Cisa*, a daléj długi szereg niedostępnych skał wybrzeża Berceto i Cassio, aż po Pietranera, poza którą błyszczy oceanowa mgła, ścielaca się nieustannie nad dolinami Lombardyi.

Nigdzie, nawet ani w Abruzzach ani w Kalabryi, nie mieszka tak piękny i silny lud jak w okolicach, którośmy pokrótce opisali, i nie można sobie wystawić nic smutniejszego nad sprzeczność jaka panuje między tymi zdrowymi, czérstwymi ludźmi, a owémi stworami, które przez niegodziwych oszustów z swojéj ojczyzny wywabione, błąkają się jako wędrowni muzykanci po całéj Europie.

Mieszkając pomiędzy toskańskiémi, sardyńskiémi a parmezańskiémi granicami, zachowali ci górale dotąd niepodległość swoję i nie troszczą się o żadną władzę rządową. Prócz tego każdy z nich jest przemytnikiem, a słynąc zresztą z uprzejmych gościnnych obyczajów, porywają się tylko wtedy do broni, jeźli ktokolwiek to ich prawo »wolnego handlu« naruszy. Rządy włoskie nałożyły nierozważnie bardzo wysokie cła na sól, tytoń, proch do strzélania i inne przedmioty tego rodzaju, i wszędzie pełno jest cłowych urzędów i strażników. Otóż ujść ich zasadzkom, zmylić baczność urzedników, przekradać zakazane towary z jednego kraju do drugiego, jest najdumniejszém, najulubieńszém zatrudnieniem mieszkańców doliny Val-di-Taro. Kto oszukuje rząd tajemném przemytnictwem, uchodzi za roztropnego i zacnego człowieka, kto zaś na siłę, w obliczu zbrojnéj zwierzchności kontrabandę sprowadza, ten bywa uważanym za bohatéra.

W tym ostatnim zawodzie nie odznaczył się nikt tak słynnie od niepamiętnych czasów, jak nasz nabożny właściciel zostawionego przed kościołem karabinu.

Paweł Moro był w całych Włoszech znany. Posiadał liczne stado mułów genueńskiego chowu. Sto najśmielszych górali było w każdéj chwili gotowych przedsięwziąć na jego zawołanie najzapamiętalszą wyprawę. Wszyscy kapitanowie przemytniczych okrętów w Korsyce i Port-Mahon, zostawali z nim w ciągłéj korespondencyi. Skoro jaką wiadomość od nich otrzymał, udawał się przy poświacie księżyca na czele swojej walecznéj drużyny w pewne ustronne miejsce około *Riviera di Genoa.* Natenczas przybijał mały statek do brzegu, zkąd wyładowywano mnogie paki z Hawanny i Wirginii i kładziono je na przyprowadzone muły. Poczém wędrowała cała karawana dniem i nocą publicznym gościńcem śród odgłosu dzwonków u szyi porządnie ubranych mułów, prosto do Cisa i Monte-Cento-Croci. Przybywszy na granicę do komory, występował śmiały naczelnik sam jeden naprzód, zastukał wesoło kolbą rusznicy do drzwi, i zawołał głośno na drżącego dozorcę, aby wyszedł na dwór, wypalić z nim razem kilka najwyborniejszych cygarów, świéżo z Hawanny przywiezionych.

Wysyłano przeciw niemu znaczne oddziały żandarmeryi a nawet kompanije regularnego wojska. Nie szczędzono zasadzek i podstępów wojennych; oficerowie wszelakich rządów układali mądre strategiczne plany, jakby całą hałastrę pojmać. Skutkiem tego wszystkiego były zacięte walki, w których zawsze nie kto inny jak tylko Paweł Moro zwyciężał. Jego dokładna znajomość miejscowości, jego nieustraszona przytomność umysłu, surowa karność, jakiéj pomiędzy swymi ludźmi przestrzegał, a wreszcie jego nigdy nie chybiająca strzelba, nadawały mu przewagę nad jakkolwiek licznymi i biegłymi nieprzyjaciołmi. Oszańcowawszy się poza swémi obładowanémi mułami, mogli przemytnicy utworzyć sobie w każdym razie warowny obóz; jakoż nie było przykładu, aby który z ich grona dostał się bądź trupem bądź żywcem w ręce wzgardzonych przeciwników. Z czasem przyszło do tego, iż jego częste niespodziane napady, szybkość jego obrotów, a nadewszystko okrutny sposób, jakim mordował wszystko bez ubłagania, napełniły takim przestrachem nieprzyjacioł, iż samo imię: Paweł Moro, było już dostateczne, aby całe pułki w najdzikszy popłoch wprawić.

Nie trzeba jednak mniemać, jakby jedynie śmiałość i osobista odwaga takie znaczenie mu zjednały. Tajemną przyczyną jego długiego świetnego powodzenia była głównie wziętość, jaką podobne przemytnicze wyprawy u tamtejszego ludu miały. W kraju przemytników był

Paweł Moro ich królem. On był uosobieniem ducha téj dzikiéj górskiéj ludności, on był duszą »wolnego handlu«, bez którego Val-di-Taro kwitnąć nie mogło. Wszyscy wiedzieli, że nigdy jeszcze przed nim przemytnictwo na tak wysokim stopniu upowszechnienia nie stało, a nikt nie był wstanie przewidzieć w coby się ono bez niego obróciło.

Ztąd téż każdy mieszkaniec téj okolicy czuwał nad bezpieczeństwem Pawła Moro, jakgdyby nad swojém własném. Nie było pastérza lub rybaka, coby sto mil był nie uszedł, aby go wcześnie o zbliżaniu się nieprzyjaciela zawiadomić. Porozwieszane chusty w dzień, ognie w nocy, odłamane gałęzie w lesie, rozmaite oznaki i głosy, stanowiły mowę, w któréj ci dobrowolni szpiedzy udzielali nowin przemytniczéj drużynie, będącéj właśnie w pochodzie.

Tyle o przemytniku i jego wyprawach. W rodzinnéj jego okolicy nie groziły mu żadne niebezpieczeństwa. Jego mieszkanie, wieś z któréj pochodził, cały okręg o dwadzieścia mil wkoło, były jakby świętém miejscem schronienia. Żandarmowie i urzędnicy stąpali po ziemi, na któréj on mieszkał, jak po wulkanie; ledwie który tam nogą postał, poczuł natychmiast miecz Damoklesa nad sobą. Nie czyniono mu wprawdzie nic złego; owszem, dopóki nie dał żadnego powodu do podejrzenia, przyjmowano go nawet jak najgościnniéj. lecz wszelkie jego kroki i ruchy bywały czujném okiem ostrowidza śledzone, a przy najmniejszéj poszlace zdrady rozstępowała się ziemia pod niebezpiecznym gościem — ginął tak nagle i cicho, że po nim ani ślad nie pozostał.

Ztémwszystkiem od dawnego już czasu nie zdarzył się podobny wypadek, od dawnego już czasu nie napastowano tego uprzywilejowanego ustronia. Rząd unikał umyślnie wszelkiego zajścia z témi niesfornémi dziećmi przyrody a słudzy sprawiedliwości przejeżdżali tylko kiedy niekiedy przez dolinę, aby przynajmniéj pozór najwyższego zwierzchnictwa zachować.

Jeźli więc karabin Pawła Moro stał tam oparty o ścianę bedońskiego kościoła, tedy byłoto raczéj dla niejakiéj ozdoby niźli dla istotnéj potrzeby. Gdyby nawet gdzieindziéj chciano było schwytać najgorszego złoczyńcę, a on natenczas w kościele się znajdował, toby musiano było szanować publiczne nabożeństwo, gdyż inaczéj kobiéty, dzieci, sam nawet kapłan, byliby w jego obronę powstali.

Ale nasz Paweł Moro modlił się bezpiecznie w kościele, a jego karabin stał spokojnie na dworze. Ta tylekrotnie wspomniona broń miała znaczny udział w głośnéj sławie swojego właściciela. Byłato śrebrem wykładana strzelba z długą lufą, nie mająca zapewne swojéj rówienniczki w całym cywilizowanym świecie. Chyba tylko maurowie Abdelkadera i gerylasy Kabrery byli podobnémi rusznicami do boju uzbrojeni, lecz w każdym innym kraju uważanoby tak starożytną strzelbę za rzadką osobliwość. Na lufie był napis majstra Lazzarino Comminazzo, który na wiele lat wprzódy słynął we Włoszech ze swojéj sztuki, nim się tam wyroby hiszpańskich giserni upowszechniły. Imiona wszystkich poprzednich posiadaczy téj broni były około zamku na śrebrnych blaszkach wyryte; imiona te żyły jeszcze dotąd w najstraszniejszych podaniach tych okolic, a wierna »Lazzarina« dokazywała w ręku swoich dawniejszych właścicieli i swego terazniejszego pana, tak zadziwiających cudów, jakichby ledwie po dziele ludzkiéj ręki spodziéwać się można było.

Tymczasem, po podniesieniu hostyi, skończyło się nabożeństwo. Gdy ostatnie dźwięki dzwonka przebrzmiały, oznajmił powstały w całym kościele szmer, iż klęczące dotąd zgromadzenie podniosło się i do wyjścia zabiérało. Jakoż zaczęli istotnie wszyscy w milczeniu opuszczać kościoł z odkrytą głową, z pochyloném w ziemię spojrzeniem, a przeszedłszy przez mały cmentarz, odetchnęli głęboko, znajdując się na świeżém powietrzu, jakgdyby uradowani, że się już ciężaru zbytniéj nabożności pozbyli. Niektórzy starzy ludzie pozostali jeszcze na progu, aby swego ulubionego plebana do domu odprowadzić, lecz niecierpliwa młodzież rozbiegła się na wszystkie strony, oddając się wesołym igraszkom i rozrywkom.

Należy wiedzieć iż u włoskiego ludu, który jeszcze święcie wszelkich dawnych obyczajów przestrzega, dzień świąteczny jest nie tylko dniem religijnego nabożeństwa, lecz oraz dobą miłostkom poświęconą. Miłość i pobożność są w tym kraju tak ściśle połączone, iż od czasów Petrarki i Bokaczego wszelkie miłostki tam się rozpoczynają, gdzieby się kończyć powinny — to jest w kościele.

Nawet w terazniejszych czasach, bywa każda dziewczyna, którą wieczorem na przechadzce z jakim wiejskim adonisem postrzegą, za jego przyszłą małżonkę uważaną. Wszystkie zmowy i intrygi miłosne, odkładają się zazwyczaj na ten wieczór niedzielny. W dnie powszedne zbywa przy ciężkiéj pracy zaledwie tyle czasu, aby sobie w przelocie wzajemnie dobrydzień powiedzieć, ale niedziela jest uprzywilejowaną porą wymiany uczuć tkliwych. Zwykłém miejscem schadzek są drzwi kościelne.

*

Rodzice i krewni nie pozwalają sobie nigdy wtrącać się w znajomości, które na tak świętém miejscu powstały. Podobny zaś sposób zalecanek nie dopuszcza nawet możności ukrywania się ze swémi miłostkami. Dwie wieczorne przechadzki z jedną i tą samą dziewczyną, przez dwie następujące niedziele, stają się wiecznie nierozerwanym węzłem.

Paweł Moro był pomiędzy piérwszymi, którzy wyszli z kościoła. Z niewymuszoném nietroszczeniem się o nic, zarzucił strzelbę na ramię, a po kilku krokach znajdował się przy boku najpiękniejszéj dziewczyny z Val-di-Taro.

Oboje odznaczali się od innych swoją powierzchownością i tworzyli razem przyjemne przeciwieństwo. Dzielny kontrabandieri był słusznego wzrostu, brunatny, i atletycznéj budowy ciała. Miał może lat trzydzieści a céra najczerstwiejszego zdrowia kwitnęła na jego licach. Żaden rys twarzy nie okazywał najmniejszego śladu tego sposobu życia, jaki od dawnego czasu prowadził. Jego męzka otwarta fizyjonomija wyrażała wesołość i dobroduszną swobodę.

Towarzysząca mu dziewczyna wyglądała jak anioł; była może zanadto blada, lecz zachwycającéj piękności. Oczy miała błękitne, a loki, które po jéj łabędziéj szyi spadały, lśniły się blaskiem złota. Delikatne rysy jéj twarzy ożywiał powabny wyraz najfiglarniejszéj pustoty. W czarujących spojrzeniach widać było rozsądek i rzadką samodzielność, która mogła się nieco przedwczesną a nawet niekobiécą wydawać. Miała lat ośmnaście i nazywała się Maryja Stella.

Urodzenie téj dziewczyny było skutkiem nieszczęsnego zdarzenia. Jéj matka, ładna niegdyś mléczarka z okolic miasteczka Burgotaro, opuściła dom rodzicielski z pewnym kozackim oddziałem wojsk sprzymierzonych, które w roku 1814 tamtędy przechodziły. Trzy dni bawiła śród cudzoziemskich żołdaków, nareszcie zdołała umknąć i powróciła do domu, lecz zhańbiona, rozpaczająca, w stanie zupełnego obłąkania. Po kilku miesiącach najokropniejszych cierpień, powiła córkę i umarła w połogu. Nowonarodzone dziecię otrzymało na chrzcie imię Maryja Stella.

Matka zmarłéj nieszczęśliwéj ofiary ujęła się opuszczonéj sieroty. W dziecinnych jeszcze latach zaprowadzono ją do Bedonii, gdzie nieznając swojego pochodzenia, wychowała się w domu babki. Lecz ta staruszka nadała swojém zaślepioném przywiązaniem do wnuczki zupełnie fałszywy kierunek jéj wychowaniu. Pobłażając wszelkim dziecinnym zachętkom Stelli i prawiąc jéj nieustannie o jéj piękności, rozpieściła ją w tak pustą zalotnicę, jakiéj w tych patryjarchalnych stronach nie widziano. Paweł Moro, z którego hojności staruszka żyła, zwrócił wszystkie swoje myśli ku jéj nadobnéj wnuczce. Widział on wprawdzie dobrze upór i zmienność charakteru dziewczyny, lecz przypisywał to jedynie naturalnéj żywości jéj wieku. Wrodzona jego dobroduszność nie dozwalała mu poznać się zupełnie na charakterze, który się nie zdawał jeszcze być rozwiniętym a krył się tak misternie pod pozorem dziewczęcéj swawoli.

»Co za piękny wieczór dziś mamy!« rzekła Maryja Stella, zasuwając starannie *weletę* *), i roztaczając wachlarz, aby się od promieni zachodzącego słońca zasłonić; wiedziała bowiem dobrze, jak rzadką zaletą była jéj piękna, biała płeć w tym południowym klimacie. — »Przejdźmy się ku *Pelpi*, powrócimy wieczorem przy świetle księżyca...«

»Alež twoja babka przez ten czas nudzić się będzie?« rzekł poczciwy Paweł.

»Nie troszcz się oto, babunia da już sobie sama radę;« odpowiedziała dziewczyna. »Będzie dopóty liczyła różańcowe paciorki, aż ją sen zmorzy. Przyjemna to rozrywka! Może i ty zechcesz zmówić z nią paciorek? Idź z nią się bawić, ja się sama przejdę i nie zabłądzę, bo znam dobrze ścieżki, a oprócz tego, nie będę musiała patrzyć na tę zardzewiałą, starą wiatrówkę;« dodała, uderzając wzgardliwie wachlarzem po lufie strzelby, aż dźwiękła jakby srebrny dzwonek.

»Zkąd ta odraza?« ozwał się Paweł. »Wszakże ci moja Lazzarina nigdy nie zawadzała.«

»Mówię ci, że niechcę abyś z nią jak na wilka szedł przy mnie;« odrzekła rozpieszczona dziewczyna, i w téjże chwili wskazując na wieśniaka, który właśnie naprzeciw nim się zbliżał — rzekła: »Oto idzie w sam czas pastérz Bonagiunta. Oddaj jemu rusznicę — albo z tobą nie pójdę.«

»Miéj się na ostrożności, Pawle Moro!« szepnął mu pastérz góralski do ucha. »Idę właśnie z Compiacco. Załoga tamtejsza została oddziałem dragonów z Borgotaro powiększona. Jest tam z nimi kapitan Scotti. Radzę ci, strzeż się.«

»Już się dragonom uprzykrzyło miéć ze mną do czynienia;« odpowiedział kontrabandieri. »A co się kapitana Scotti tycze, ten ma jeszcze zdać mi sprawę z czego innego. Miałem go już dwa razy w moich ręku i przebaczyłem. Niechże on się teraz przede mną strzeże! — Ale cóż ci to luba!« zawołał zwracając się do Stelli.

---

*) *Veletta*, malowniczy strój głowy, używany w niektórych górskich okolicach włoskich.

»Czegożeś tak pobladła? — Nie lękaj się moje dziécię, to nam w niczém nie przeszkodzi. A gdyby nawet mieli nas spotkać, od czegoż Lazzarina! Widzisz teraz sama, iż bez niéj obejść się nie można.«

Dziewczyna przygryzła usta. Bonagiunta poszedł swoją drogą, a narzeczeni udali się daléj na przechadzkę. Przemytnik poglądnął często niespokojnie przed siebie, dziewczyna wlekła wzrok po ziemi. Oboje milczeli. Ścieżka wiodła przez jałową łąkę, nieocienioną najmniejszym krzewem. W odległości pół mili kończyło się wybrzeże wązkim parowem, poza którym stérczał wysoki las starożytnych kasztanów, pokrywający całą przestrzeń aż po same twierdzę Compiacco. W cytadeli, która była oraz więzieniem stanu, znajdowała się szczupła załoga, wzmacniana niekiedy oddziałami żandarmów, nazywanych tu dragonami. W pośrodku parowu, w cieniu drzew rozłożystych, wznosiła się samotną starożytna kaplica, pświęcona najświętszéj pannie.

Zanim kochankowie do téj kaplicy zdążyli, odzyskała już Stella dawną wesołość, którą tylko, jak Paweł Moro sądził, przykra wiadomość niebezpieczeństwa na krótką chwilę przyćmiła. Znowu więc hoża, wesoła i swawolna jak dziecko, szła przy boku swego obrońcy, żartując z nim nieustannie, i drocząc go ciągłémi przymówkami.

»Ależ, moje kochane dziécię —« przerwał jej Paweł.

»Ależ, mój kochany ojcze,« — zaśmiała się swawolnica — »mam ochotę iść dzisiaj daleko na przechadzkę, przynajmniéj do kaplicy najświętszéj panny.«

»Ależ, w takim razie« — ozwał się nato przemytnik — »nie będziem mogli powrócić przed północą.«

»I cóż!« zawołała żywo dziewczyna. »Czyliż się boisz zostać ze mną samnasam pociemku? Lub może duchów się boisz! Ach prawda, powiadają, że w staréj kaplicy coś straszy!«

»Czy ja się boję?« rzekł Paweł Moro spokojnie, »oto nie idzie; dla mnie czy żywy czy umarły — niestraszny, ale —«

»Ale w duchy wierzysz?«

»I dlaczegożbym nie miał wierzyć?« odpowiedział poczciwy kontrabandieri w prostocie swojéj. »Albož nie jestem człowiekiem i chrześcijaninem? Albož dusza człowieka nie jest nieśmiertelną, a Bóg wszechmocny. Ja w duchy wierzę, ale się ich nie lękam. Złe tylko sumienie czegokolwiek się boi. Ja nikomu nic złego nic zrobiłem. Jestem spokojnym człowiekiem i trudnię się poczciwém rzemiosłem. Nie lubię jednak słyszéć jak sobie żartujesz z rzeczy, które mają związek z tamtym światem. To owe książki, które ci w Borgotaro do czytania dawano — nie wiém ja wprawdzie co tam w nich stoi, bo jestem sobie prostym człowiekiem i nigdy do nich nie zaglądałem — lecz one to zapewne głowę ci zawróciły. Przyznam ci się, iż się lękam ksiązek. Są bowiem ludzie, którzy dopóty w nich czytają, aż wreszcie ani w Boga ani w diabła nie wierzą, a —«

»Co ja słyszę!« przerwała Stella parskając pustym śmiechem. »Mój Paweł kaznodzieją!«

»Tak jest,« mówił przemytnik z coraz większym zapałem — »powtarzam ci, iż nie lubię książek; równie jak owych towarzystw, któreś zwykła odwidzać, będąc tak często w Burgotaro. Twoja babka nierozsądnie zrobiła, iż ci pozwoliła saméj chodzić do tego próżniackiego miasteczka. Gdybym ja był o tém wiedział, byłoby się to nie stało. Wiém dobrze, co ty tam robisz. Nie masz żadnego poszanowania dla mnie Stello; inaczéj nie dopuściłabyś aż do tego, abyś tańcowała z kapitanem Scotti, i słuchała jego niedorzecznych oświadczeń.«

Dziewczyna znowu pobladła, lecz wnet się opamiętała i odparła nieco gniewliwym głosem:

»Otóż mamy! Tak to bywa! Nigdy zazdrośnik prawdziwego rywala nie odgadnie! Dla czegoż nie wspominasz nic o doktorze Bisturi, który dla mnie umyślnie bal wyprawił, zaklinając się na cudny blask moich oczu, iż mię pojmie za żonę? — Ha, cha, cha! Tak jest, masz wiedzieć iż stary doktor jest gotów złożyć swoje peruki, okulary i worki z pieniędzmi u stóp twojéj kochanki. Ty zaś, Pawle, zaprzestań czynić mi te wymówki, inaczéj mogłabym w saméj rzeczy pomyśléć, iż sam doktor, jakkolwiek stary i zrzęda, niebyłby tak gdérliwym małżonkiem, jak ty, mój drogi. Zresztą wiesz dobrze, że ja swarów nie lubię. A co się tycze kapitana —« dodała z odwróconém obliczem i nieco niepewnym głosem, »cóż w tém złego, żem tańczyła z nim monferrinę, albo słuchała jego miejskich grzeczności? Nie czyniłamże to dlatego, aby się wywiedziéć o ich planach i zamierzonych wyprawach? Nie dbamże ja w każdéj chwili i w każdym razie o twoje bezpieczeństwo?«

»Proszę cię bardzo,« — odpowiedział przemytnik z dumą — »nie troszcz się wcale o to. Twoi przyjaciele, oficerowie, są radzi, jeżli ja zdala od nich. Wiedzą oni iż nie jestem ani ślepym ani głuchym, i że moja Lazzarina nie jest wrzecionem. Małoby zapewne musiało zależéć temu na życiu, ktoby się ważył zbliżyć w obręb jéj strzału. A gdyby i ona nawet celu

chybiła —« dodał zbójca podnosząc ramię i wskazując na duży nóż genueński, wyglądający z jego lewéj kieszeni — »natenczas to żelazo wystarczy trupem położyć każdego śmiałka, któryby chciał iść ze mną o życie. Nie, nie! — wiedzą oni dobrze, że mnie tylko śpiącego schwytać mogą, a nato potrzeba im wprzód znaleźć zdrajcę w tych górach. Lecz tego równie tak się lękam, jak się lękam, abyś ty Stello, mnie nie zdradziła.«

Maryja Stella tupnęła nogą z niecierpliwości.

»Nie,« — mówił łagodniejszym wyrazem dalej — »takich ja usług nie żądam od ciebie; — takim sposobem nie potrzebujesz troskać się o moje bezpieczeństwo. Moja własna ręka jest wstanie obronić moję głowę. Niech tylko moje serce w twojéj pamięci spoczywa bezpiecznie, a jeźli nasze wspólne szczęście...«

»Patrz, patrz!« przerwała mu lekkomyślna dziewczyna pokazując wachlarzem unoszącego się w powietrzu sokoła. »Widzisz tego jastrzębia, czy jak on się tam nazywa!«

»Jest to szlachetny sokoł!« odpowiedział kontrabandieri z właściwą góralom czcią dla tego pięknego ptaka. »Ma tak szérokie skrzydła jak orzeł.«

»Prędko, wystrzel do niego.«

»Cóż on nam złego zrobił?« rzekł Paweł Moro, który będąc sam rozbójnikiem, litował się nad zbójcą w powietrzu.

»Jestto szlachetny cel,« — mówiła dziewczyna nalégając — »chciałabym się przekonać o twojéj wychwalanéj zręczności. Nie słyszysz? Zaraz mi strzelbę do ręki, i ubij mi tego ptaka!«

Posłuszny kochanek skłonił się mimowolnie do życzenia upartéj dziewczyny. Wymierzył lufę do ptaka i wiódł ją przez jakiś czas za jego szybującym lotem. Razem zdjęła go znowu litość. Spuścił w dół rusznicę i obracając się do zniecierpliwionéj dziewczyny: »Daruj życie temu niewinnemu stworzeniu!« zawołał.

»Oh, zapewne!« odpowiedziała Stella. »Niewinne stworzenie co kojce i gołębniki okrada. Nie mam nad nim żadnéj litości!«

»Wszystko co żyje, jest posłuszne instynktowi, którym Bóg wszechmogący je natchnął;« ozwał się rozbojnik uroczyście. »Nie mamy prawa wyrokować w tym względzie.«

»Dajże pokój tym koszałkom-opałkom,« rzekła Stella wzgardliwie, »lub wrócę sama do domu.«

Przemytnik złożył się poraz drugi. Spaniały sokoł bujał wysoko ponad niémi. Nieświadomy grożącego mu niebezpieczeństwa krążył nieustannie wkoło, i roztaczając széroko swoje potężne skrzydła, sam nadstawił piersi na cel strzelającemu. Paweł pocisnął za cyngel.

Grzmiący odgłos strzału rozdał się po obu brzegach rzeki. Sokoł wzleciał jak strzała w górę, lecz wnet zaczął bezsilnie spadać, a wreszcie runął głową w rzekę, o kilkaset kroków od miejsca, gdzie kochankowie stali.

Podczas gdy Paweł spadającemu ptakowi smętnie się przypatrywał, spojrzała Stella przelotnie ku lasowi kasztanów....

»Dzielny sokoł nie powróci już nigdy do swego gniazda!« rzekł smutno Paweł Moro, odwracając posępnie głowę. »Zawód jego skończony, a śmierć dosięgła go w tę chwilę, gdy się może czuł właśnie najbezpieczniejszym. Tak to tym bywa co w swoje śmiertelne siły ufają.«

»Żal mi bardzo, iż nie można mieć pióra z skrzydeł jego;« rzekła Stella z wielką obojętnością. »Przystroiłabym niém czapkę mojego kawalera. »Ale pójdź,« dodała, ciągnąc go silnie za rękę i uprowadzając z sobą gdy właśnie chciał powtórnie strzelbę nabić. »Ledwie mamy sto kroków do kaplicy, a nie godzi się abyśmy do domu powrócili, nie ukléknąwszy przed obrazem najświętszéj panny.«

Nabożny góral nie opierał się temu i poszedł z nią ku kaplicy, będąc jednak niezwykle zadumanym i jakby przykremi przeczuciami dręczony. Stella spostrzegłszy jego ponurość, chciała go swoją żartobliwą gadatliwością rozerwać.

»Patrz — widać już las zaczarowany,« rzekła; »owę osławioną siedzibę duchów, stryg i upiorów, które straszą ludzi po nocy; »poczém śmiejąc się na głos, zaśpiewała gminną piosnkę przedrwiwającą te bajeczne widma i strachy.

»Proszę cię,« — przerwał kochanek — »przestań, a zaśpiewaj mi raczéj kilka zwrotek z pieśni o San Pellegrino.«

Lecz niebaczna dziewczyna śpiéwała jeszcze donośniéjszym głosem, który się po całéj wieczornéj okolicy rozlegał.

Nagle porwał kontrabandieri Stellę za rękę i zawoławszy: »Cicho!« przyciągnął ją szybko do siebie.

»Przez Boga, cóż to!« szepnęła dziewczyna omdlewając prawie ze strachu.

Oblicze przemytnika powlokła grobowa bladość. Piérwszym jego ruchem było wymierzyć lufę Lazzariny ku stronie starożytnéj kaplicy; przypomniawszy sobie jednakże iż strzelba nie jest nabitą, pochwycił za rękojeść sztyletu, gotów uderzyć nim w okamgnieniu; wszakże po krótkiéj chwili odzyskał zwyczajną spokojność i zdał się być zawstydzony okazaniem próżnéj obawy.

»Otóż mamy!« zawołał z niechętnym uśmiéchem. — »Jeszcze nakoniec stanę się tchórzem na starość. Ale byłożto przywidzeniem tylko, iż mi się zdało, jakby tam za krzakiem mignął się bagnet żołnierski?«

»Czyżem ci nie mówiła,« — ozwała się dziewczyna przyszedłszy wnet do opamiętania — »iż ten las jest miejscem zaklętem, gdzie się dziwne głosy i nadziemskie postacie pojawiają?!«

Tymczasem zbliżyli się do kaplicy. Zachodne słońce skryło się już za chmury a księżyc wypływał zwolna zpoza obłoków. Byłato pierwsza najciemniejsza chwila wieczora. Ostatnie dźwięki pozdrowienia anielskiego, brzmiące z okolicznych kościołków, zamierały harmonijnie w powietrzu, a ponad całą krainą unosiło się wonne tchnienie wieczorne. Poddając się mimowolnie wrażeniu téj uroczystéj ciszy, oparł przemytnik strzelbę o mur kaplicy, usiadł na kamiennéj ławeczce i przyciągnąwszy pobladłą dziewczynę ku sobie, skłonił głowę na jéj piersi. Budynek kaplicy otoczony rozłożystémi kasztanami, był starożytnéj struktury i wzbudzał cześć i poszanowanie.

»Pójdź Pawle,« ozwała się dziewczyna poufnym głosem, który się zdawał być natchniętym uroczystością miejsca i chwili. »Wejdźmy do kaplicy. Zmówimy trzy zdrowaś-maryja a potem powrócimy do domu i obaczymy co nam babka na wieczerzę przygotowała.«

Przemytnik powstał, i zostawiwszy strzelbę na dworze, uchylił żelazne, kratami opatrzone drzwi kaplicy. Dziewczyna postąpiła za nim, lecz jeszcze na progu obejrzała się poza siebie ku gęstym krzakom w pobliżkości...

Poczem uklękli oboje w kaplicy na kamiennéj posadzce i schylili czoło przed obrazem najświętszéj panny. Cienki głos Maryi Stelli zabrzmiał spolnie z męzkim głosem pobożnego bandyty. Wychodząc z kaplicy była dziewczyna bledszą niż zwykle; Paweł chciał znowu wziąć strzelbę do ręki, ale go kochanka nagle

wstrzymała, mówiąc: »Zaczekaj, kochany Pawle, zapomniałam wachlarza w kaplicy.«

Przemytnik pospieszył do środka. Schylając się za wachlarzem, usłyszał jak się żelazne drzwi za nim gwałtownie zatrzasnęły. Maryja stała śmiejąc się na dworze.

»Dajże pokój swawolnico, porzuć te żarty!« zawołał góral, błysnąwszy okiem iskrzącém. »Tu ni czas ni miejsce do igraszek. Wiesz, że nawet w żarcie nie cierpię niewoli.«

To mówiąc chwycił silną ręką za fórtę i zatrząsł nią potężnie.

»Teraz jesteś moim niewolnikiem!« zawołała pusta dziewczyna, klaskając głośno w ręce. »Mam wielką ochotę zostawić cię tam na całą noc z duchami.«

Twarz przemytnika przybrała okropny wyraz.

»Podnieś natychmiast klamkę, nierozważna dziewczyno; albo na Boga...«

Stella przelękła się tych słów groźnym wymówionych tonem i chciała być posłuszną rozkazowi; zaczęła cisnąć zapadłą zardzewiałą klamkę, ale nie mogła temu podołać.

»Jakieś licho siedzi w téj klamce;« rzekła wreszcie niechętnie. »Daj mi swój nóż, Pawle, niech nim podważę. Pokrwawiłam sobie palce.«

Przemytnik podał jéj nóż przez kratę, ona pochwyciła go spiesznie, a w tejże chwili wyskoczyły zewsząd tłumy żołnierzy.

»Masz go więc!« — ozwała się Stella, zwracając się do naczelnika. »Już się bronić nie może. Ale nie czyń mu nic złego. Pamiętaj na twoje przyrzeczenie.«

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* i. W. Kochańskiego, wyszedł nr. 50ty i obejmuje: 1) Doświadczenie z jęczmieniem kawalerskim (*Cavalier-Gerste*). 2) O sztuczném karmieniu ryb. 3) Jaki koń ma być użyty do poprawienia ras naszych koni, wschodni czy zachodni? (Ciąg dalszy.) 4) Najprędszy sposób gaszenia pożaru. 5) Raporta handlowe od 2 do 9 grudnia. Z Gorlic dnia 22 listopada r. b. Targ na woły we Lwowie 2 grudnia r. b. Ceny produktów we Lwowie. Z Tarnopola 30 listopada r. b. Ze Stryjskiego 2 grudnia r. b. Soroki (w Besarabii) 23 października r. b.

Szkoły w Niemczech. Podług obliczenia Kalinicha, w dziele pod nazwą: »O znaczeniu szkół w Niemczech« znajduje się w tymże kraju przy szkołach gminnych 62.250 nauczycieli a 6.000.000 uczniów, przy wyższych szkołach 4250 nauczycieli a 75.000 uczniów, przy akademijach 1400 nauczycieli a 18.000 uczniów, przy seminaryjach nauczycielskich 500 nauczycieli a 40.000 uczniów. Oprócz tego wymienia autor około 36 seminaryjów duchownych, blisko 20 lyceów i podobnych wyższych zakładów naukowych, około 70 zakładów dla głuchoniemych, 21 dla ciemnych, kilka akademij sztuk, i wiele szkół wojskowych, rzemieslniczych, poprawczych, sierocińskich i zakładów ochrony dla małych dziatek, przy których w ogólności znajduje się 5000 nauczycieli i nauczycielek a 461.000 wychowanków. Mają tedy Niemcy razem 75.400 nauczycieli a 6.500000 uczniów. Koszta oblicza autor dla szkół gminnych na 15.500.000 talarów, dla szkół wyższych na 2.500.000 tal., dla akademijów i uniwersytetów na 1.500.000 tal., dla seminaryjów nauczycielskich na 400,000 tal., zaś dla innych zakładów 3.000.000, a zatém razem na 22.900.000 talarów. Z tego obliczenia okazuje się iż czynność szkół niemieckich rozciąga się do szóstéj części ludności całego kraju i że na opędzenie kosztów w tym względzie każdy mieszkaniec co roku w przecięciu pół talara opłaca.

»Le bon vieux temps.« Złote czasy Francuzów. (Wyjątek z broszury francuzkiéj, pod tytułem: »Bastylla«) Węgielny kamień Bastylli położono dnia 12 kwietnia 1369, a dnia 14 lipca 1789, zniknął ostatni kamień tego osławionego budynku. Przytoczona wyżéj książeczka zawiera między innémi szczegółami imiona wszystkich sławniejszych osób, które były uwięzione w Bastylli, jakoteż wiele urzędowych rozkazów, wydanych przez namiestnika policyi pana de Sartine do gubernatora Bastylli. Jeden z tych rozkazów opiéwa jak następuje: »Odsyłam wpanu niejakiego F.... Jestto łotr wierutny. Zamknij go wpan na 8 dni, a potém pozbądź go się jakimkolwiek sposobem.« — U spodu tego listu był przypisek gubernatora: »Dnia... czerwca przystawiono F...., a po wyznaczonym czasie posłałem do p. Sartine z zapytaniem: pod jakiém imieniem mam kazać zmarłego F... pochować.«

Kaplica św. Jerzego w Windsor, została zbudowana przez króla Edwarda III, po ustanowieniu orderu podwiązki, którego patronem jest s. Jerzy. Główny wchód znajduje się od zachodu. Całe wnętrze budowy, osobliwie ołtarz i wielkie okno na wschodnim końcu kaplicy, sprawia istotnie nadzwyczajne wrażenie. To okno, arcydzieło sztuki malowania na szkle, składa się z ośmiu oddziałów, z których każdy ma 6 stóp wysokości. Znajdujące się tam obrazy przedstawiają Edwarda III i IV, Henryka VIII, kilku patryjarchów i biskupów, wreszcie niektóre przedmioty z pisma świętego. Nawa kaplicy jest przedzieloną od choru dwoma bogato ozdobionemi drzwiami i pięknémi organy, darowanemi przez króla Jerzego III. Ta część kaplicy służy do nabożeństwa, i tu też bywają nowi kawalerowie orderu przyjmowani. Po obu stronach chóru znajdują się chorągwie króla wielkiej Brytanii jakoteż innych kawalerów orderu podwiązki, tudzież ich miecze, hełmy i płaszcze. Liczba teraźniejszych 40 kawalerów tegoż orderu składa się z następujących imion: królowa Wiktoryja, książę Albert, król pruski, cesarz rossyjski, król francuzki, król wirtemberski, król belgijski, książę bruński, książę Sachsen-Koburg, książę Sachsen-Meuningen, książę orański, książę Leiningen, książę Sussex, książę Cambridge, książę Jerzy Cumberland, książę Cleveland, książę Somerset, margrabia Landsdowne, książę Buccleugh, książę Norfolk, książę Richmond, książę Devonshire, margrabia Hertford, margrabia Anglesea, margrabia Wellesley, książę Rutland, lord Derby, lord Carlisle, książę Hamilton, książę Crafton, hrabia Grey, margrabia Exeter, książę Dorset, książę Wellington, książę Newkastle, hrabia Lonsdale i hrabia Westmoreland.

Szklanka morskiéj wody. Alfons Karr opowiada w swoich »Osach«: Niedawno temu zdybałem na brzegu morza ładną dziewczynę, która zaczerpnęła wody morskiej do szklanki, zawierającej może trzy zwykłe szklanki stołowe do picia. Obecny temu celnik przystąpił do niéj z powagą i rzekł surowym głosem: »Nie wolno jest brać wody morskiej!« — »A toż dla czego?« zapytała zdziwiona dziewczyna. — »Ponieważ jest zabroniono!« odparł celnik. — »Czyż się pan może lękasz, abym morza w szklance z sobą nie uniosła?« — »Nie lękam się nikogo prócz mego kapitana, a ten nakazał mi surowo, abym tu nikomu wody morskiej czerpać nie pozwalał.« — »Lecz to tylko szklanka wody

dla mojéj choréj siostry, któréj lekarz codziennie po pół szklanki wody morskiéj pić kazał.« — »Mocno żałuję, ale taki jest przepis!« — »Jeżeli wpan pozwolisz, tedy wezmę tylko pół szklanki wody, ile właśnie lekarz przepisał.« — »Nie wolno, w żaden sposób. Niechaj siostra sama tu przyjdzie i napije się u brzegu.« — »Ależ ona chora i leży w łóżku!« — »Więc niema rady; musi się obejść bez wody.« — Ta rozmowa, którą całą słyszałem, zdała mi się tak dziwną, a nielitościwość celnika tak trudną do uwierzenia, iżem się mimowolnie odezwał, czy on sobie z dziewczyny nie żartuje? Na co mi wyraźnie odpowiedział, iż mają surowy nakaz, aby ani szklanki wody zaczerpnąć z morza nie pozwolili. Odszedłem oburzony, lecz jeszcze w ciągu tego samego dnia dowiedziałem się o przyczynie, która do upiększenia tak niesłychanie surowego zakazu służy. Pokazano mi rozporządzenie komory, opiewające jak następuje: Ponieważ niektórzy piekarze zwykli wody morskiéj do pieczenia chleba używać, aby przeto soli oszczędzić; sól zaś rządowym jest monopolem, który jednę z najważniejszych gałęzi dochodów państwa stanowi, przeto nakazuje się urzędom cłowym, aby temu nadużyciu z morską wodą jak najściśléj zapobiegały. — Gorliwość podrzędnych urzędników obostrza to rozporządzenie do tego stopnia, iż nawet pół szklanki wody dla choréj nabrać nie wolno!

Gniazda ptasie dwudziestu sześciu stóp objętości. Niedawno temu przywieziono z Nowéj Zelandyi do Anglii skamieniałe kości ptaka Moa. Profesor Owen nazwał gromadę, do któréj ten nowo odkryty ptak ma należeć *Dinornis,* i oznaczył pięć różnych gatunków téj gromady; jeden z tych gatunków, *dinornis giganteus* musiał liczyć 10 stóp wysokości, inny *dinornis struthoides,* 7. Obecnie odkryto także gniazda, w których, jak się zdaje, te olbrzymie ptaki się wysiadały. Profesor Hitchcock z Massachuzetts donosi iż kapitan okrętowy Cook znalazł na wyspie Lizard, na północno-wschodniém wybrzeżu Nowéj Hollandyi, ogromne gniazda ptasie, które stoją na ziemi i są z małych gałęzi ułożone. Mają mieć 26 stóp objętości i wznoszą się na 32 cale ponad ziemią. Kapitan Flinders znalazł również na zachodniém wybrzeżu Nowéj Hollandyi podobneż gniazda. Gałęzie i wszelkie materyjały, z których te gniazda są ułożone, ciężą tyle co fura drzewa. Ponieważ innych ptaków téj wielkości nie znają, przeto sądzą iż te olbrzymie ptaki, które w Nowéj Zelandyi już wyginęły, znajdują się jeszcze w cieplejszym klimacie Nowéj Hollandyi. Te ptaki przypominają nam olbrzymie tropy ptasie, które w barwnym konnektykuckim piaskowcu znaleziono. Formacyja barwnego piaskowca jest wprawdzie bardzo stara, i gdyby wspomnione ptaki już w geologicznéj epoce tegoż piaskowca były istniały, tedy wypadałoby im nadzwyczajnie daleką starożytność przypisać. Ztémwszystkiém trudno jest dowieść, iż owe tropy pochodzą od tegoż samego gatunku ptaków, które te olbrzymie gniazda budują. Podług wszelkiéj analogii trwałości gatunków zwierząt, jestto prawie niepodobieństwem.

Uroczystość kartoflana w Mnichowie. W ostatnich dniach października obchodzono w Mnichowie trzechsetną rocznicę sprowadzenia kartofli przez Franciszka Drake do Europy, i dano w tym celu ucztę, któréj wszystkie potrawy składały się z rozmaicie przyrządzonych kartofli. W pośrodku sali wznosiło się popiersie Drakego, ozdobione wieńcem z dębowych liści roboty Szwantalera, który je w pamiątkę téj rocznicy zgromadzonemu towarzystwu poświęcił.

Przestroga. Z Niemiec donoszą: W pogranicznem pruskiém miasteczku Altenkirchen wystrzelił jeden z tamtejszych mieszkańców w dzień imienin królewskich ślepym nabojem na grono małych chłopców, aby ich w żarcie nastraszyć. Tymczasem wbił się nabój pewnemu trzynastoletniemu wyrostkowi tak silnie w piersi, że się aż do płuc przedarł; wskutek czego zraniony chłopiec na trzeci dzień umarł. — Czyż nie dość jeszcze podobnych ofiar? Nie będzież już końca tym nierozsądnym igraszkom? — Odkąd w jednem z państw związku niemieckiego ogłoszono ustawę, mocą któréj każdy, kto tylko czyto nabitą czy nienabitą strzelbą, chociażby tylko w żarcie, będzie na kogoś mierzyć, roczném więzieniem ma być ukarany, — odtąd o żadnym wypadku tego rodzaju tam już niesłychać. Oby też podobne rozporządzenie i w innych krajach wydano.

Wierna miłość. Niedaleko Dammartina, koło Sewilli, wykopano przed niedawnym czasem małą żelazną skrzyneczkę, zawierającą kilka loków nadzwyczaj pięknych, czarnych i długich włosów, owiniętych czerwoną wstęgą krzyża legii honorowéj, a z wierzchu papierem, na którym były napisane następujące słowa: »Ja Edward Dabreus, porucznik u dragonów w służbie wielkiego Napoleona, oświadczam niniejszém, iż bywszy rannym przy moście pod Sewillą, zostałem ocalony i zachowany przez piękną i czułą Juliję. Dla uwiecznienia pamiątki jéj miłości, niechaj jedna połowa jéj darowanych mi loków spoczywa tutaj przechowana w spiżu dla potomności, na podziw wszystkim, którzyby kiedyś skarb ten znaleźli. Julija była najpiękniejszą kobietą w świecie; ani we Włoszech, ani w Egipcie, ani w Hiszpanii, ani nawet w cudownéj Francyi nie znałem podobnéj piękności, któraby w tym stopniu moje serce ujęła. Dammartina, 4 listopada 1808.«

Kradzież w pływalni. W pewnéj pływalni kąpało się dwóch panów. Wychodząc z wody ujrzeli jakiegoś nieznajomego, zamykającego drzwi od ich komórki. »Przepraszam moich panów,« ozwał się obcy, »moja komórka jest tuż obok, a ja przez omyłkę do pańskiéj wszedłem.« Tamci wpadli zaraz na domysł, że to był oszust, obejrzeli natychmiast swoje rzeczy i spostrzegli, iż jednemu drogi brylantowy pierścionek, drugiemu zaś złoty zegarek z łańcuszkiem ukradziono. Dali znać o tém nadzorcy pływalni a ten czémprędzéj udał się do nieznajomego. Zagrożony oszust zanurzył się w wodę i zniknął. Lecz dozorca nieleniwy skoczył tuż za nim i przyciągnął go do drabinki mówiąc: »Mój paniczu jeszcześ za młody i za słaby do dawania nórka, mógłbyś się utopić. Złodziej, zostawiwszy na dnie wody zegarek sądził się być bezpiecznych i ofuknął jeszcze dozorcę za jego podejrzenie; ale na nieszczęście swoje zapomniał o tém, że zostawił pierścień na palcu, a tak chcąc niechcąc przyznać się musiał. Ten pełen nadziei pływacz ma dopiero lat 17 i może wczasie pornąć głęboko!

Wyborna informacyja. Pewien do Paryża przybyły cudzoziemiec prosił ulicznika (*gamin*), aby mu drogę do prefektury policyi pokazał. »Pójdź tylko do tego sklepu,« odrzekł ulicznik, wskazując na sklep złotnika; »i schowaj tam srebrny sztuciec do kieszeni, a pewnie cię na żądane miejsce zaprowadzą.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.